Ner 32. Kraków 15 września 1867. Rok II.

KALINA wychodzi 1go i 15go każdego miesiąca w dwóch arkuszach.

Rubryki stałe: Sprawy wychowania.— Ruch społeczny. — Szkice obyczajowe. — Powieści. — Sztuki i literatura. — Życiorysy. — Podróże. — Poezje. — Z przyrody. — Korespondencje. Kronika i Sprawozdania bieżące.

KALINA

Mody i kroje z gotowemi formami i opisami dołącza się każdego 1go. Nuty każdego 15go.

BIURO REDAKCYI i ADMINISTRACYI przy ul. Mikołajskiéj Nr 451 na dole, otwarte codziennie wyjąwszy niedziele i święta od godziny 9téj do 12téj rano.

Ogłoszenie przedpłaty.

Z dzisiejszym nrem kończy się trzeci kwartał r. 1867, a pierwszy rok wydawnictwa. Jak przez ten rok, tak i nadal będziemy się starali w miarę możności ciągłe zaprowadzać ulepszenia.

☞ Upraszamy o wczesne nadsélanie prenumeraty, wraz z zaległościami. (Ceny są w każdym nrze podane.) ☜

1go października wyjdzie pierwszy nr. następnego kwartału.

☞ Do numeru dzisiejszego dołącza się dla Prenumerujących **nuty.**

Ważność stowarzyszeń kobiet

podług wykładu pani

ULRYKI HENSHKE.

przez L.

(Ciąg dalszy.)

Mówiliśmy dotąd o sprawie kobiet tylko w stosunku do rodziny. Uznałyśmy za potrzebne, określić bliżéj tę pierwszą najważniejszą stronę życia kobiet, i oznaczyć, co w téj mierze prawdziwie jest potrzebném. Oznaczając dorastającym dziewczętom kierunek wykształcenia, zwyciężyłyśmy wyskoki naszéj ogładzonéj oświaty, która ma być przyczyną, że w naszych czasach własne domostwo tak trudném do rządzenia się zdaje. Przepych młodych panien, pragnienie zabaw, ich powiększone pretensje, które często przekraczają granice ich stosunków, wszystko to jest hasłem naszego wieku, i nie możemy brać za złe młodemu człowiekowi, jeżeli się obawia taką spieszczoną, młodą, osóbkę za żonę pojąć. Dlatego mówiłyśmy zaraz z początku, że trzeba koniecznie z innéj strony zrównoważyć wymogi naszéj oświaty. Zamiast lat bezczynności i pozornych uciech poleciłyśmy lata szkolne. A jednak nie każdéj pracowitéj, starannéj dziewicy dano jest spełnić powołanie, do którego ją przyroda przeznaczyła. Z tego cichego błogiego stanu wystąpiły nasze stosunki i w różnych porozchodziły się kierunkach. Jest to konieczny proces rozwoju ludzkości. Jest to wyższe, moralne prawo które nas z raju przyrody wypędziło i zbawienne nam zadanie wyznaczyło, własną siłą, w pocie czoła utracony raj na nowo odzyskać. Gdybyśmy nawet za jednêm czarodziejskiém zaklęciem do przyrody powrócić mogli, któż z nasby się odważył? Któżby ciężko wywalczone skarby ducha, któżby wysokie twory sztuki, świetne płody ludzkiego geniusza oddał za powrót do stanu przyrody? Nasze najszlachetniejsze przedsięwzięcia przepełnione są błędami, a jednak czy oddalibyśmy je za przytępienie, za martwienie ducha? A tę bogatą oświatę wykwitłą z wieków przeszłości któżby zagubić chciał dlatego, że utracił cichą, poufną, oddaloną chatkę? W têm jesteśmy wszyscy — mężczyźni jak kobiety, wspólnikami jednéj doli. Znajdujemy się w pośród olbrzymiéj cywilizacyi, przed którą się ugiąć musimy, choćby nasze żądania usprawiedliwionemi były. Nie wszystkie więc dziewczęta znajdują zawód naturalny w życiu domowém; ich oczekiwania często rok za rokiem coraz pewniejszym grożą zawodem. Liczba niezabezpieczonych, niemających rodziny dziewcząt powiększa się w przestraszający sposób. To zjawisko jest może wynikiem naszéj wspólnéj oświaty. Nie obalimy jéj. Ale jest znowu błogosławieństwem téj oświaty, że innemi sposobami wynagrodzić się stara to, w czém zawiniła. Jeżeli dziewczyna nie mając zabezpieczenia w małżeństwie, o własnych siłach w życiu utrzymać się musi — przeznaczenie, które tysiące trafia — wtedy oświata otwiera jéj inne drogi, aby sobie samodzielnie godne istnienie utrwaliła. Wykształcenie, o którém mówiłyśmy, będzie téj samodzielności zasadą; uzdolni

przynajmniéj do zastąpienia w obcym domu miejsca gospodyni, opiekunki. Jest to błogosławieństwem dla niejednéj osieroconéj rodziny, bo ten rodzaj wykształcenia rzadko napotykamy. Mamy dla osieroconych dzieci guwernantki, dla gospodarstwa gospodynie, dla reprezentacyi towarzyszkę.

Taka biedna guwernantka słusznie się przestrasza, jeżeli w obcym domu powierzają jéj bieliznę, kuchnię, piwnicę, bo w téj gałęzi żadnego nie ma doświadczenia, obawia się nawet, żeby takiego rodzaju zajęcie nie było dla niéj ujmą honoru? Gospodyni — nie ubliżając bynajmniéj tym paniom, będzież ona w stanie pozyskać sobie należne uszanowanie, które tylko wykształcenie i pochodząca z niego miara i godność postępowania u ludzi zdobywa? A towarzyszka — biedna istota, mająca obejście wielkiéj damy, a pokorne uczucie sługi! Jeżeli istnieje karykatura kondycyi kobiety, to jest uosobioną w towarzyszce. To próżne, estetyczne, salonowe wykształcenie, ten łudzący, nieszczery blichtr, trochę znajomości fortepianu, literatury, kilka angielskich i francuzkich frazesów i bardzo, bardzo układne obejście — z téj mozaiki składa się postać, któraby za komiczną uchodzić mogła, gdyby istotnie nie była nieszczęśliwą.

Oparta na wielostronném, dzielném wykształceniu, na znajomości gospodarstwa, poznajomiona z pierwotném wychowaniem dzieci — a przedewszystkiém, oparta na poczuciu własnéj godności — niechaj osierocona dziewczyna spróbuje uzyskać miejsce na obszerniejszém polu działania.

Ale któż sobie pochlebi, że tym sposobem wynalazł środek dla tych wielu dziewcząt, które sobie samym są pozostawione?

Właśnie te, które mają rodzinę, wiedzą także, że rodzina jest to osobliwszy organizm. Nie w każdéj ziemi roślina się przyjmie. Żywioł sam przez się wszystkie mieć może zalety, ale nie do każdego da się wszczepić domu. Dojrzalszy umysł wie, jak trudném jest zastosowanie się do innych osobistości. Téj trudności doznają nauczycielki w obcych rodzinach i dlatego wolą oglądać się za miejscem przy szkołach publicznych; Bo wykształcenie dla domu, nie powinno być kresem całego wykształcenia.

Jeżeli wprzódy wskazałyśmy środki pomocnicze, któremi postępująca oświata zagładzić się stara niesprawiedliwości swoje, uczyniłyśmy to ze względu na wielką liczbę osamotnionych kobiet i dziewcząt, które nie znalazły miejsca w życiu rodzinném. Lecz ażeby cały skarb umysłowéj i moralnéj siły, którą Bóg tak hojnie kobietę obdarzył, marnie nie zginął, społeczeństwo ma obowiązek rozszerzyć pole działania dla kobiet. Nie może być planem Opatrzności, aby piekne dary kobiety, jéj żywe przyjmowanie wrażeń piękna, czystość jéj charakteru, nieskończonej jéj zdolności, winą kapryśnego wypadku, lub uprzedzeń, zupełnie marniały! Czy nie dosyć, że kobieta samą jest na świecie, bez kółka rodzinnego, że zrzec się musi rozkoszy serca! Czyż godzi się odsuwać ją od działania, w któremby pociechę może znalazła. Do dzisiaj prawie skazaną ona jest na bezczynne, niekorzystne dla społeczeństwa życie i ztądto wyradza się w najlepszych nawet duszach ta gorzkość, ta nienawistna drobnostkowość, którą tak często u samotnych kobiet widzimy, a o których nigdy pobłażliwie nie sądzimy.

Przenieśmy się tylko w ich położenie, a pojmiemy przykrość, wynikłą z chybionego wychowania i społecznego odepchnięcia.

Obok téj grupy stoi inna, która nietylko wewnętrzną walką się niszczy, ale jeszcze i sposobu do życia nie jest pewną. Tu nie zachodzi pytanie o granice powołania kobiecego, tu przemawia nędza coraz natarczywiéj do naszego ucha i serca — a byłoby niedorzecznością, udawać się do dobroczynności, w zwykłém słowa znaczeniu. Duchowo niedojrzali, wiekowi, słabi, chromi oni wszyscy, którzy są bez pomocy, oni mają święte prawo do miłosierdzia współbraci. Ale młode, pracowite, wykształcone dziewczęta mają prawo żądać, aby im społeczeństwo dało sposobność należycie się zatrudnić i godne sobie istnienie ustalić.

Na kogóż przypada ten obowiązek? Szlachetne kobiety dadzą nam na to odpowiedź zawiązywaniem stowarzyszeń, i uczynią to pytanie społeczne najważniejszém dla siebie. Idzie tu nietylko o pomoc — ale owszem o wzrost dobrobytu i oświaty całego społeczeństwa — o przysporzenie mu pracowników. Jest to pytanie wysokiéj obywatelskiéj wagi.

(Dok. w n. nrze.)

Swojskie strony.

(NAŚLADOWANIE Z GOETHEGO.)

„Kennst du das Land, wo die Citronen bluhn?"

Znaszli ten kraj, gdzie fale płyną zboża,
Złoconych niw jak obszar wielki morza?
Gdzie płynie miód i mleko — sadów gaje
Purpurą lśnią — w kwiat stroją się ruczaje?
Znaszli ten kraj?...
Ach tam wędrowcze drogi
Znalazłbyś raj —
Gdzie sterczą zbóż tych stogi!...

Znasz zamek ten, co dzisiaj w gruzach leży —
Gdzie Dniestru brzeg skaliste ściany jeży:
Ów kniaziów gród — co blaskiem lśni różowym,
Choć trupią skroń uwieńczył mchem wiekowym?

Znasz Halicz ty?...
Ach tam spiesz druchu miły,
Gdzie wieków sny
Wznoszą się z pod mogiły!...

Znasz góry te, co długą falą siną
Od Wisły aż do Prutu wzniośle płyną,
Gdzie orłów lot w odwiecznych lasach tonie —
A szczyty skał w obłokach kryją skronie.
Znasz Tatrów cud?...
Ach, tam w téj mglistéj dali
Tam znajdziesz lud,
Co wieszcza pierś zapali!...

Znasz-li ten gród nad brzegiem łzawéj Wisły,
Którego pierś dziś twarde losy ścisły?
Ten wielki grób, pamiątek wieków wielu,
I królów ich, co legli na Wawelu?...

Znasz-li ten grób?...
Tam spiesz pielgrzymie miły
I łzami skrop
Pamiątek tych mogiły!...

Lucyan Falkiewicz.

„Odpuść nam jako i my odpuszczamy“.

(SZKIC POWIEŚCIOWY.)

napisał ***Elpidon.***

(Ciąg dalszy.)

IX.

Następnego dnia staruszek wstał raniéj niż zwykle i ubrał się z pośpiechem. Na wywiędłéj jego twarzy znać było zmęczenie bezsennéj nocy — błękitne usta spieczone gorączką, a w oczach jego nieprzytomność i niepokój. Ubrawszy się, usiadł zmęczony na stołku, oddech jego był głośny, krótki. Po chwili drżącemi rękami rozpiął surdut, wyjął zegarek z kieszonki i spojrzał na godzinę. Zdawało mu się, że zegarek stanął, przyłożył go do ucha — szedł jednostajnym, miarowym ruchem; to staruszka zadziwiło; położył zegarek na stole i czas jakiś chodził po izbie, skracając sobie czém mógł chwile oczekiwania i niecierpliwości: to przecierał chustką zakurzone szybki okienka, to układał rupiecie na stoliku, to strzepywał pył z krucyfiksu, wiszącego nad jego posłaniem. Przy tém ostatniém zajęciu zatrzymał się dłużéj, zapatrzył się w twarz Ukrzyżowanego, zamyślił się poważnie, głęboko, a ręce zbliżały się ku sobie, jakby się chciał modlić. Nagle jakaś myśl odtrąciła go od krzyża, odwrócił się szybko ku oknu i począł machinalnie układać papiery na stoliku. Przez chwilę miał myśl napisać kilka słów, niby ostatnią wolę swoją, ale wnet wyperswadował to sobie, ruszył ramionami i szepnął do siebie: „Po co? — Dla kogo?“ — i wsunął napowrót papiery do stolika.

Skazówka zbliżała się do ósméj — staruszek nie mógł już dosiedzieć w domu — wstał, włożył zegarek do kieszonki i wyszedł. Z ulicy Mostowéj nie poszedł ku Podwalowi, ale skręcił ku Staremu-Miastu, aby przez przysporzenie drogi skrócić sobie męczące chwile czekania; po drodze wstąpił do kawiarni przy ulicy Święto-Jańskiéj, kazał sobie podać kawę i machinalnie przerzucał gazety. Przypadkowo wpadł mu w ręce Dziennik Warszawski, a oczy jego mimowiednie zatrzymały się na ustępie, w którym były nazwiska skazanych na śmierć przez powieszenie. Staruszek zmięszał się — za kilka dni może i jego nazwisko stanie na téj liście — odsunął gazetę na bok ze wstrętem nie czytając daléj, a byłby wyczytał parę linij daléj nazwisko i wyrok syna swojego. Nie dopił już kawy i wyszedł. Tak był roztargniony, że musiano mu przypomnieć, że nie zapłacił za kawę,

Dziewiąta się zbliżała — staruszek przyspieszył kroku, by dojść na czas do ogrodu Saskiego. Koło wielkiego wodotrysku spotkał się z nieznajomym i obaj wyszli na Marszałkowską.

— Źle idzie — rzekł nieznajomy.

— Jakto?

— Ptaszek ma się na ostrożności — pilnują go dozorcy.

— Więc nic z tego? spytał staruszek z obawą.

— Owszem; tylko że polowanie będzie trudniejsze. Trzeba będzie zarezykować życie. Ocalenie nasze jest prawie niepodobne. I cóż pan na to? Możesz się cofnąć, jeżeli zechcesz.

— Nie traćmy czasu na próżne gadanie, rzekł staruszek niecierpliwie — ja chcę go zabić, mniejsza o to, za jaką cenę.

— Więc chodź pan ze mną, dowiesz się o moim planie.

Skręcili w Chmielną ulicę i weszli do małego domku, zasłoniętego od ulicy wysokim parkanem. W pół godziny potém furtka znowu się otworzyła i wyszedł z tego domu jakiś dozorca policyjny, prowadzący za kołnierz aresztanta. Aresztantem był nasz znajomy staruszek z ulicy Mostowéj — a w dozorcy, gdyby odrzucił przyprawne wąsy i starł udaną ogorzałość z twarzy, poznalibyśmy owego nieznajomego.

Przeszli ul. Szpitalną, na plac Dzieciątka Jezus, a ztamtąd skręcili do mieszkania komisarza.

Komisarz odebrawszy dnia poprzedniego ostrzeżenie od „Rządu Narodowego“, aby się podał do dymisyi, gdyż w przeciwnym razie będzie ukarany śmiercią w przeciągu 48 godzin — zatrwożył się niepomału. Niepewny jak sobie postąpić, udał się natychmiast na

zamek do Namiestnika i przedstawił mu rozkaz Rządu podziemnego. Ten przeczytawszy pismo rozśmiał się pogardliwie i za odpowiedź pokazał komisarzowi dwa podobne ostrzeżenia, które sam otrzymał.

— Widzisz to? Miesiąc temu, jak mi to podłożono, a żyję zdrów i cały.

— Waszą ekscelencją — zauważył nieśmiało komisarz — strzegą mury i wojsko od buntowników — a mnie. . . .

— Ciebie strzeże opieka rządu. Zresztą, jeżeli się boisz, dam ci straż z trzech dozorców.

Komisarz skłonił się i wyszedł z zamku już pod opieką trzech dozorców policyjnych, którzy mu mieli odtąd zawsze na ulicy towarzyszyć, a gdy wrócił do domu, strzedz drzwi jego mieszkania. Zwykle przed bramą jego domu stało dwóch dozorców, a trzeci na schodach. Drzwi frontowe i tylne były zawsze zamknięte, otwierano je tylko dla znajomych osób, używając przytém wszelkich środków ostrożności. Dotrzeć więc do tego człowieka i zabić go, zdawało się niepodobieństwem. Te jednak środki ostrożności nie zdołały odstraszyć tych, którzy szli wykonać rozkaz Rządu podziemnego.

Dozorca z staruszkiem stanęli przed bramą kamienicy. Staruszek był blady i drżał, nie tyle z obawy, bo téj nie miał, ile ze wzruszenia.

Nieznajomy zagadał do dozorców, strzegących bramy.

— Komisarz w domu?

— W domu. A ty od kogo?

— Od Drozdowicza z aresztantem.

(Drozdowicz był komisarzem innego cyrkułu.)

Dozorcy przepuścili ich, niedomyślając się podstępu. Weszli na schody.

— Do kogo? powtórzył zapytanie dozorca, stojący na schodach.

— Do komisarza z tym ptaszkiem, któregośmy schwytali w naszym cyrkule.

— A po cóż jego tutaj dajecie?

— Nie wiem. Drozdowicz kazał zawieść tutaj.

— Tędy was nie puszczę, idźcie od tylu.

Wrócili się i weszli na tylne schody. Niebezpieczeństwo ich przy takich środkach ostrożności było widoczne, nieuniknione — cofnąć się jednak nie można było; szli więc daléj śmiało. Zapukali do drzwi od tyłu. Tam nowe zapytania służącéj, która odpowiedź przybyłych zaniosła pani. Za chwilę sama pani rozpoczęła przez zamknięte drzwi indagacją: Kto? zkąd? po co? Dozorca odpowiadał śmiało i bez wachania. Staruszek poznał głos swojéj żony; po tylu latach ten znajomy dźwięk głosu rozrzewnił go, nogi się pod nim zgięły, zachwiał się i wsparł o drzwi. Podobnego wrażenia doznaje człowiek, kiedy po długiéj niebytności wraca do rodzinnych stron i słyszy głos dzwonu na wieży. Z radością przysłuchuje się tym znanym dźwiękom i nie pamięta w téj chwili, że one rodzicom jego pogrzebny marsz dzwoniły. Staruszek na chwilę zapomniał o tém, co się koło niego działo, zmartwychwstałych kilka chwil szczęścia uśmiechały się ku niemu z ciemnych mroków przeszłości i zaczarowały jego myśli. Ale wnet nadpłynęły inne obrazy, które zasłoniły szczęście i wyszczerzały jadowite zęby; staruszek wstrząsnął się cały, krew uderzyła mu do głowy i zawrzał chęcią zemsty nad niewierną.

W końcu odezwał się za drzwiami głos samego komisarza.

— Od kogo dozorca?

— Od pana komisarza Drozdowicza.

— Po co?

— Przyprowadziłem aresztanta, który ma zrobić zeznanie.

— Przeprowadź go na frontowe schody — zaraz wam otworzą.

Dozorca przeprowadził znowu staruszka na frontowe schody, rzucając pilne spojrzenia na położenie miejsca.

— Tyś drżący — rzekł cicho do starca, gdy wchodzili z podworca do sieni. Jeżeli ci brakło odwagi, możemy wyjść na ulicę: jeszcze jest czas ocalenia się.

— Chodźmy, chodźmy do niego — wyszeptał staruszek namiętnym, gorączkowym głosem.

Poszli na górę. Czas jakiś czekali przed drzwiami — chwila ta zdawała im się okropnie długą. Wreszcie otworzono im — weszli do ciemnego przedpokoju. Służąca wpuściwszy ich, zamknęła drzwi na dwa spusty i wyjęła klucz z zamku. Tu dozorca zaraportował przez nią komisarzowi, że komisarz Drozdowicz przysyła aresztanta, który skruszony, chce porobić ważne zeznania, odnoszące się do osób, zamieszkałych w tym cyrkule. Służąca weszła do pokoju. Dozorca spojrzał na starca wzrokiem, którym mu powiedział: nie ma już dla nas nadziei ocalenia, bądź jednak odważny.

Drzwi od pokoju się uchyliły.

— Wejdź — odezwał się komisarz do więźnia.

Dozorca postąpił także naprzód.

— Ty zostań tam — rzekł komisarz sucho i zamknął na klucz drzwi od pokoju.

Tak więc nieznajomy pozostał w ciemnym przedpokoju, z dwóch stron zamknięty, a pałasz i rewolwer, w który był uzbrojony na nic mu się w tém położeniu przydać nie mogły. Przerażenie go ogarnęło. Przeszła mu myśl po głowie, czy przypadkiem staruszek go nie zdradził i nie oddał w ten sposób w ręce wrogów. Nasłuchiwał, czy od strony schodów nie usłyszy żołnierzy idących go schwytać, opatrzył rewolwer i czekał. Gdy żadnego łoskotu nie słyszał z téj strony, zbliżył się do drzwi prowadzących do pokoju komisarza i z natężoną uwagą przysłuchiwał się rozmowie.

— Więc ty chcesz zrobić zeznanie? spytał komisarz, mierząc więźnia surowym, badawczym wzrokiem.

— Tak — odparł staruszek siląc się na spokój, gdyż wszystkie nerwy grały w nim burzą.

— Jak się nazywasz?

Tu starzec powiedział jakieś zmylone nazwisko.

— Zkąd wiesz o tém, co chcesz zeznać?

— Byłem okręgowym.

Tu nastało chwilowe milczenie. Komisarz mierzył wzrokiem stojącego przed nim aresztanta i zapuszczał badawczą sondę w niego, jakby go chciał przejrzeć do dna. Starzec wytrzymał spojrzenie bez zmięszania się i niepokoju. Nieznajomy tymczasem był w rozpaczliwém położeniu; drżał o starca, który był za słaby, aby mógł dać radę komisarzowi, przewyższającemu go siłą i wzrostem, a pomocy dać mu nie mógł.

— Co cię skłoniło do tego zeznania? spytał znowu komisarz, nie zdejmując sępiego wzroku z twarzy obwinionego.

— Nadzieja, że tém zmniejszę moją winę i uzyskam przebaczenie.

— Czyś tutejszy? Musisz być tutejszy, bo twarz twoja nie zdaje mi się obcą. Prawda? spytał go przystępując bliżéj — my się już gdzieś widzieli?

Starca przeszedł mróz zimny po kościach, bał się, że jest poznany, chciał już chwycić za sztylet, gdy dalsze słowa komisarza uspokoiły jego obawę.

— Widzisz, mnie dość raz widzieć twarz jakąś, aby ją zapamiętać. Musiałeś choć raz przesunąć koło mnie na ulicy — to wystarczy, abym cię pamiętał. No, ale do rzeczy. Czy pamiętasz nazwiska twoich wspólników?

— Mam ich listę przy sobie.

— Daj ją.

To mówiąc wyciągnął dłoń. Staruszek wsunął rękę do kieszeni, wyjął — i ugodził nagle sztyletem w piersi komisarza. Ten krzyknął, chwycił się za piersi, zachwiał się i upadł; ale upadając zdołał jeszcze chwycić starca za rękę, którą ten podniósł do powtórnego ciosu i pociągnął go za sobą.

Obaj runęli na ziemię z łoskotem, pasując się rozpacznie i tarzając. Nie był to już ten zawiędły staruszek, któregośmy widzieli wprzódy, ale rozdrażniona pantera, czerpiąca niezwyczajne siły w wściekłości swojéj. Oczy nabiegły mu krwią, usta dyszały gorącym oddechem, żyły nabrzmiały jak sine powrozy koło naprężonych muszkułów. Zdawało się, że resztę sił swego życia schował starzec na tę jednę chwilę. Kolanem przygniótł piersi leżącego pod nim wroga i usiłował uwolnić swoją rękę z jego ręki.

Wśród takiego szamotania wypadł mu z ręki sztylet, jedyna jego broń i wpadł między wazoniki stojące pod oknem. Równocześnie na krzyk komisarza wpadła jego żona, a ujrzawszy straszną scenę, rzuciła się ku walczącym i uczepiła się drugiéj ręki napastnika. Próżno rzucał nią o ziemię, odpychał całą siłą — wisiała wciąż jak przyczepiony wąż Laokoona, krępując go i osłabiając. Spętany w ten sposób starzec stracił już odwagę, osłabły opuścił ręce i słabym głosem zawołał:

— Przez Bóg żywy ratunku. . . .

W téj chwili od strony przedpokoju odezwało się silne uderzenie o drzwi, nie za długo powtórzyło się z większą jeszcze gwałtownością i mocą, drzwi pękły i nieznajomy wpadł do izby. Jednym rzutem oka pojął niebezpieczeństwo starca, dobył natychmiast pałasza i ciął w rękę komisarza. Odwinął się i powtórzył cięcie na ręce jego żony. To drugie cięcie było tak silne, że biała ręka komisarzowéj odpadła zbroczona na podłogę. Wtedy starzec oswobodzony z krępujących go rąk, skoczył pod okno, chwycił z gorączkowym pośpiechem sztylet i zadając nim nowe razy w pierś komisarza, zasyczał z wściekłością:

— Giń łotrze!... uwodzicielu cudzych żon.

Komisarz wyszczerzył na niego wzrok, mgłą już zaszły i zacharczał:

— Kazimierz!

Cała ta scena szeroko opisana odbywała się z tak niesłychaną szybkością, że nie trwała jak parę minut. Krzyk słyszany z głębi pokoju obudził czujność straży — w sieni dała się słyszeć wrzawa.

— Czas iść — rzekł dozorca z zimną krwią i zadziwiającą przytomnością — wziął za rękę starca, wpatrującego się z osłupieniem na skrwawione trupy, leżące no podłodze — i wyprowadził tylnemi schodami nieprzytomnego.

Na podworcu zatrzymała ich straż.

— Co się stało? spytano.

— Komisarz zachorował — idźcie ratować, ja spieszę po doktora.

Dozorcy rzucili się na schody; nieznajomy tymczasem trzymając starca za kołnierz, wyprowadził go na ulicę i skręcił na Mazowiecką, gdzie czekały już na nich cztery zakryte dorożki. Wsiedli do jednéj z nich.

W téj chwili usłyszeli za sobą krzyk i wrzawę goniących milicjantów.

— Ruszaj — zawołał nieznajomy.

Cztery dorożki pędem rozleciały się w różne strony; dozorcy pogłupieli; nie wiedzieli, w którą biedz stronę. Nakoniec zdecydowali się gonić dorożkę, pędzącą wprost przed nimi.

— Stój! — pastój zawołali.

Dorożkarz wstrzymał konie — zmęczeni dozorcy przypadli do dorożki z odwiedzionemi rewolwerami, zajrzeli w głąb powozu — w powozie nie było nikogo.

(Dok. nastąpi.)

Germaine Staël.

(ŻYCIORYS.)

(Ciąg dalszy.)

Ówczesna krytyka imperjalistowska, będąca zarazem echem odradzającego się wyższego towarzystwa, podniosła krzyk na Delfinę; zarzucano brak religijności, obronę rozwodów, obronę samobójstwa, przesadność stylu, gonienie za efektami, frazeologją — wielbiciele znowu energicznie ją bronili. Świadczy to najlepiéj o znaczeniu książki, że była długi czas główném zajęciem całego umysłowego świata. Z powyższych zarzutów odpowiemy tu na jeden, aby okazać uprzedzenia ówczesnéj krytyki: zarzut wystąpienia przeciw małżeństwu. Poprzednio dodamy jeszcze, że piszący nie mogą odpowiadać za to, jeżeli usposobienia chorobliwe wyciągają z ich pism to, czego tam nie ma.

Właśnie najwybitniejszą może ideą w tym romansie jest pragnienie szczęścia małżeńskiego, głębokie uczucie niemożliwości innego szczęścia, wyznanie przeszkód, wobec których najczęściéj, mimo wszelkich cnót, targa się życie w dysharmonii społecznych warunków. Idea ta szczęścia w małżeństwie prześladowała bezustannie panią Staël, tak jak inne serca wzbierają pragnieniem nieznanych im przygód romantycznych. W dziele o wpływie namiętności, w rozdziale o miłości, opowiada ona serdecznie o dwóch staruszkach małżonkach kochających się, których widziała w Anglii. W dziele o „Literaturze“ przytacza z upodobaniem piękne wiersze Thompsona z pierwszéj pieśni o wiośnie, które sławią małżeństwo, „tę doskonałą jedność“. W książce o „Niemcach“, znowu do tego tematu wraca w tonie arcypoważnym, z wdzięczném uznaniem. W Delfinie szczęśliwy obraz rodziny Belmont przedstawia właśnie ten eden domowy, to marzenie zawsze z pośród burz przez autorkę pożądane.

Przyznajemy, że Delfinę, książkę pełną uroków, możnaby nazwać lekturą mogącą zaniepokoić — lecz ten niepokój, od którego liljową niewinność chronić należy — jest raczéj zdrowém ocknięciem się dla dusz, którym rzeczywiste troski i jałowe rozczarowanie wstrząśnieniami grożą. Szczęśliwy to niepokój, który może odrodzić do serdecznych wzruszeń i do poświęceń młodości.

W odwet na krzyki nieprzychylne odpowiadała p. Staël zawsze tylko uprzejmością — tak np. o p. Genlis, strofującéj jéj pisma o lekkość, wyraziła się: „Ona na mnie napada, a ja ją chwalę; tak się nasze stosunki krzyżują“.

Lecz późniéj jéj wygnanie w r. 1803, jéj podróże, jéj stosunki niemieckie, arystokratyczne, bez przeciwdziałania, wszystko to rzuciło ją potem w inną sferę i rozprószyło w niéj te natchnienia z III. roku Rzeczypospolitéj. Przymuszona do wyjazdu z Paryża, udała się od razu do Niemiec i zabrała się energicznie do języka i literatury niemieckiéj; odwiedziła Berlin, Weimar, zapoznała się z Goethem. Było to u niéj pokłosie materjałów na dzieło, które po drugiéj podróży w r. 1807/8 się uzupełniło. To nagłe przerzucenie się za Ren, wyrwanie się z dotychczasowych stosunków, było gwałtownèm zerwaniem z rozirytowanym na nią Napoleonem.

Z powodu śmierci ojca powróciła do Coppet. Po pierwszéj żałobie i ogłoszeniu rękopismów pani Necker w r. 1804, pojechała do Włoch. Tu pod jasném słońcem ożywiła się jeszcze więcéj jéj miłość przyrody i sztuk. Delfina powiada w jedném miejscu, „że nie bardzo lubi malarstwo, i że przechadzając się po ogrodach, więcéj ją zajmują urny i nagrobki, jak sama przyroda“. Ta obojętność była raczéj skutkiem wieku niż gustu, bo jak wiadomo, dawniéj inne miała zdanie. Te jesienne mgły rozwiała jednak jasność widnokręgów włoskich — wszystkie muzy niosą jéj wszystkie dary. Tam to towarzyszący jéj poeta niemiecki Aug. Wil. Schlegel ofiarował jéj znaną, poważną elegją, p. t. „Rzym“.

Powróciwszy do Coppet w r. 1805, pracując tam nad nowym poematem, nie mogła jednak p. Staël pozostać dłużéj oddaloną od jedynego centrum od Paryża, gdzie tyle świetnych dni przeżyła i na widok którego dusza jéj pragnieniem sławy wzbierała. Objawił się téż wtedy u niéj wzrastający niepokój, owa choroba na stolicę, która wprawdzie przynosi nieco ujmy godności jéj wygnania, ale która zdradza właśnie namiętną szczerość każdego jéj kroku. Rozkazem policyi wolno jéj było przebywać w promieniu 40 mil od Paryża; instynktowe uparcie, niby mucha, która brzęcząc, rozbija się nieustannie po szkle zamkniętego okna, poruszała się ona na téj fatalnéj granicy w Auxerres, w Chalons, w Blois, w Saumur. Z przyjaciółmi swoimi grała niejako partję szachów przeciw Napoleonowi i ministrowi *Fouché*, reprezentowanym przez prefektów mniéj lub więcéj surowych. Pozwolenie pobytu w Rouen cieszy ją, bo kilka mil zdobyła. Lecz w tych prowincjonalnych miastach duszno było i jałowo dla umysłu tak czynnego, tak chciwego tonu i słów atheńskich. Nareszcie pozwolono jéj na pobyt o 18 mil od Paryża, w Acosta; ztąd zajmowała się drukiem Korynny. Pobyt ten był jéj tém przykrzejszym, ile że upodobanie przyrody wiejskiéj przeszło u niéj dawno. Wzdychała do ciasnych ulic stolecznych. Gdy raz na przechadzce w Acosta z oboma Schleglami i p. Fauriel, ten ostatni mimowolnie wykrzyknął z podziwienia na widok pięknego krajobrazu, powiedziała mu na to: „ach p. Fauriel, więc pan jeszcze dotąd trwasz w sielankowych przesądach“! Późniéj już po upadku cesarstwa

w rozmowie z p. *Molé*, dziwiąc się, że człowiek takiego umysłu lubiał wieś, odezwała się: „Gdyby nie zwykły ludzki respekt, nie otworzyłabym okna, żeby widzieć po raz pierwszy Neapolitańską zatokę; lecz zrobiłabym 500 mil, dla rozmowy z człowiekiem genialnym, którego nie znam“. Dowcipny i pochlebny sposób wyrażenia o ile przenosiła rozmowę i towarzystwo nad przyrodę.

Toteż w r. 1806, nie mogła już dłużéj znosić przymusu wygnania; przybyła do Paryża wieczór, z wiadomością kilku tylko osób. W dzień nie wychodziła wcale — lecz naszedł ją kaprys, odwiedzić koniecznie dawną przyjaciółkę jéj ojca, panią *de Tessé*, która powiedziała kiedyś owe słowa: „Gdybym była królową, nakazałabym pani Staël ciągle mówić do mnie“. Ta dama wówczas już bardzo wiekowa, przelękła się na wiadomość o téj wizycie wygnanki, rzecz się rozniosła, *Fouché* się dowiedział. Musiała co prędzéj wyjeżdżać, żeby się na nieprzyjemności nie narażać. Wkrótce ogłoszenie Korynny potwierdziło i podwoiło jeszcze surowość rządu przeciw p. Staël. Zamieszkiwała wtedy w Coppet, gdzie nam się pojawia w prawdziwéj swojéj godności, otoczona majestatycznym dworem. Położenie miejsca, cieniste lasy, kobieta i poetka gospodarzem, entuzjazm będący tam w powietrzu, wykwintne towarzystwo, sławne imiona, przechadzki nad jeziorem, poranki w parku, pewien półcień misterjów i kollizyj; wszystko to robi obraz tego pobytu zachwycającym, pełnym poezyi, swobody i gustu i umysłowych rozkoszy. Było to życie zamkowe, zawsze goście, po 30 znakomitości, mężczyźni i kobiety, którzyby mogli być ozdobą każdego towarzystwa. Rozmowy filozoficzne, literackie, zawsze dowcipne albo wzniosłe, rozpoczynały się o 11. rano przy śniadaniu — potém przy obiedzie, przy wieczerzy, często aż po północy. I nie było tam ani sentymentalności, ani ceremonij, zato dużo wesołości i prostoty. Grano dramata, tragiedje, albo komedje Voltaira, Zaira, Tankred, albo kawałki umyślnie pisane przez panią domu, lub przyjaciół. Poezja europejska przebywała w Coppet w osobie wielu sławnych swoich przedstawicieli. Zacharias Werner, jeden z oryginałów tego dworu, którego dramata (Attila) tam grano, tak pisze: „Pani Staël jest królową, wszyscy ludzie intelligientni żyjący w jéj kole nie mogą wyjść zeń, ona ich trzyma jakimś czarem, oni wszyscy odbierają od niéj wychowanie towarzyskie. Posiada ona w zadziwiającym stopniu tajemnicę łączenia najróżnorodniejszych żywiołów; wszyscy co się zbliżą, muszą się zgodzić w uwielbianiu jéj. Jest ona średniego wzrostu, kształty jéj nie mają powiewności nimfy, lecz harmonią, a w każdym ruchu jest szlachetność. Silna, brunetka, oblicze nie nazbyt piękne. Lecz zapomina się o tém, widząc jéj pyszne oczy, z których boska dusza nie iskrzy się, ale garściami płomienie ciska. A kiedy sercu swojemu pozwoli mówić z zupełną swobodą, widać wtedy, jak to podniosłe serce kąpie się w obszernym i głębokim umyśle, i wtedy trzeba ją czcić tak, jak moi przyjaciele Schlegiel, Benjamin, Constant“.... Trzeba wiedzieć, że autor téj eleganckiéj relacyi był w całém wzięciu się swojém komiczny, wiecznie zatabaczony i dźwigający olbrzymią tabakierę, z której bez ustanku czerpał, w pośród swoich długich dysput o ideałach i miłości, tabakę.

Poeta duński Oelenschaëger podobną podaje wiadomość: „P. Staël wyszła łaskawie naprzeciw mnie, prosząc, abym w Coppet kilka tygodni zabawił. Żartowała z gracją z mojéj francuzczyzny, więc zacząłem mówić po niemiecku, który język ona doskonale posiada. Zastałem tam bardzo wiele gości.... P. Staël nie jest ładną, lecz w połysku jéj czarnych oczu jest nieprzeparty urok; posiada ona w wysokim stopniu dar ujarzmiania charakterów opornych, i wzajemnego zbliżania za pomocą swojéj uprzejmości ludzi antypatycznych. Głos ma donośny, twarz trochę surową, lecz duszę czułą i delikatną. Pisała wtedy dzieło swoje o Niemczech i czytała nam codzień kawałek.... Dodajemy do tego, że była bogatą, hojną, a wyobrazimy sobie ją w jéj zamku jak królowę, jak boginię. Jéj czarodziejską różczką była może owa gałązka z drzewa, którą służący z jéj rozkazu zawsze kładł przy jéj talerzu, i którą ona podczas rozmowy poruszała!“...

W braku gałązki, był wachlarz, nożyk słoniowy lub srebrny, albo trąbka z papieru — dosyć, że zawsze musiała coś trzymać w niespokojnych rękach. Dwa portrety jakie mamy, wyobrażają ją nam lepiéj, jak te opisy. Portret malowany przez panią Lebrun, przedstawia ją jako Korynnę: głowa okryta, włosy fryzowane, w ręku lira; portret Gerarda przedstawia ją w turbanie.

Poezja angielska, która podczas wojny na kontynencie nie mogła przybyć na ten stały kongres myśli do Cappet, pojawiła się tam w r. 1816, w osobie Lewisa i Byrona. Ten ostatni mówi w swoich pamiętnikach o p. Staël z czcią i uznaniem — zgadza się, że zrobiła ona Cappet miejscem najprzyjemniejszém na ziemi przez towarzystwo, które przyjmuje, i które talentami swojemi ożywia. Ona nawzajem osądziła go jako człowieka najwięcéj ujmującego z całéj Anglii.

Pozostawmy romansowi i poezyi późniejszych, wypełnienie kolorytu tego obrazu, rozsnucie zagadek i tajemnic, jakie tam mogły być — myśmy jeszcze za blizko.

Nam teraz czas wrócić do literatury.

„Korynna“ wyszła w r. 1807. Powodzenie było natychmiastowe, powszechne. Lecz był to już wtedy przeddzień absolutnéj cenzury. Niezadowolenie cesarza z dzieła, zapewne ztąd pochodzące, że wszelki entuzjazm nie do niego się odnoszący, entuzjazm idealny

dla przedmiotu obcego zupełnie jego celom, musiał mu być wstrętny — niezadowolenie to wystarczało do niedopuszczenia druku pochwalnych rozbiorów. P. *Villemain* twierdzi w swoich lekcjach o p. Staël, że nawet cesarz sam napisał do „Monitora“ krytykę dowcipną, a gorzką. Niemniéj jednak „Korynną“ zdobyła autorka dziedzinę sławy. Dla gieniuszów nadchodzi zawsze pewna chwila stanowcza, gdzie panowanie ich tak się ustala, że odtąd pochwały wynikają raczéj z próżności piszących je, którzy przez to o swoim własnym sądzie i smaku składają sobie świadectwo. Cała Europa nazwała autorkę Korynną. Jest to obraz udzielnéj niepodległości geniusza, nawet w czasie ogólnego ucisku. „Korynna“ (mówi *I. Chenier*) jest to znowu Delfina, lecz udoskonalona, niepodległa — wszystkie jéj zdolności rozwinięte, a zawsze podwójnie natchniona przez talent i miłość! Tak, lecz nawet sława jest dla Korynny tylko świetną rozrywką, obszerniejszą sposobnością podbijania serc. „Szukając sławy (mówi ona do Oswalda) spodziewałam się zawsze, że ona mi miłość pozyska“. Głąb książki pokazuje nam tę walkę potęg ambitnych, lub uczuciowych, a szczęścia domowego; było ono ciągłém marzeniem p. Staël. Napróżno Korynna pojawia się w blasku jako kapłanka Apollina, napróżno w zwykłych stosunkach życia okazuje się kobietą pełną prostoty, humoru, ruchliwą, wrażliwą, i radą temu co jest; nie może unikać walki z namiętnością, z miłością. Od chwili kiedy się czuje porwaną przez namiętność, przez te szpony sępa, pod któremi szczęście niepodległości upada, wtedy ogarnia ją niemoc pocieszenia się, uczucie jéj silniejsze jak jéj geniusz, napróżno odwołuje się i wzywa świętości i trwałości związków, które jedynie od gwałtownych burz w życiu ochronić mogą; a w chwili śmierci wyznaje w łabędzim śpiewie: „Z wszystkich zdolności duszy, którem odebrała od przyrody, zdolność cierpienia jest jedyną, któréj w zupełności używałam“. To echo Delfiny w tym romansie z góry sympatją czytelnika zyskuje. A nadto imiona ludzi, którzy się stali drogimi jéj sercu już tą razą wyryte nie na korze jakiegoś drzewa, lecz wypisane na murach wieczystych ruin Rzymu, i stają się żyjącą częścią ich nieśmiertelności. Wielka namiętność przysporza tutaj cyrkom starożytnym jednę ofiarę więcéj, która nigdy zapomnianą nie będzie. Gieniusz, który ją wydobył z swojego łona, jest jednym więcéj zwycięzcą w tym zwycięzców grodzie. Korynna jest dla p. Staël tém, czém ona sama chciała być i była — nietylko Capitolium i triumf są im wspólne, ale i śmierć z cierpienia.

Korynna jest jedną odmianą owych obrazów Rzymu, którą tylu poetów a każdy w inny sposób przedstawia, które *Chateaubriand* przedstawił w epopei „Męczennicy“, a Krasiński w „Irydjonie“.

W dziele tém wyswobodziła się p. Staël od konwersacjalności, od pośpiechu i improwizacyi od tworzenia od ręki, stojąc oparta o kominek. Nietylko cały plan, ale i szczegóły tego pomnika są wytrwale i wspaniale wykończone. (Ciąg d. nast.)

Było to w maju.

Na cichém niebie drżały
Światełka gwiazd promienne,
A lilje pochylały
Do rzeki czoła senne.

Z majowém lasów tchnieniem
Wiatr pieśni niósł odgłosy —
I igrał twém odzieniem,
I pieścił twoje włosy.

Drożyny krętéj śladem
Szliśmy powoli, razem —
Gdzie lampa światłem bladém
Migała przed obrazem.

Lud kwiaty niósł w ofierze,
Pieśń brzmiała staroświecka,
Tyś się modliła szczerze,
Z anielską wiarą dziecka.

* * *

Dziś.... znowu wiosna świta,
Łąka się kwieciem stroi,
Miniony urok wita
Po latach, w duszy mojéj....

I znowu serce marzy —
Czar wspomnień ożył we mnie....
U dawnych tam ołtarzy
Ja szukam cię daremnie.

Tak samo, jak przed laty,
Śpiewami brzmi kaplica —
I pachną znane kwiaty,
I znane widzę lica.

Smutno jak na pogrzebie —
I obco mi w tym tłumie,
Bo już tam nie ma ciebie,
Modlącéj się w zadumie....

Bohdan Rastawica.

piero, pod koniec cesarstwa, przyjęła idee konstytucyi angielskiéj.

Tom drobniejszych rzeczy, które p. Staël ogłosiła w r. 1795, obejmuje oprócz trzech nowelli z jéj najpierwszéj młodości ładne „Studjum o urojeniach“ i wspomniany już list o nieszczęściu czyli „Adela i Edward“ poemat wierszem pisany w Szwajcaryi podczas terroryzmu. Jest to uwagi godne, że w położeniu nadzwyczajném, kiedy wszystkie zwykłe zdolności jéj talentu były w zawieszeniu, niejako zamrożone, że wtedy jednak właśnie, budziły się w niéj pieśni, poemata, jakby rozrywka i ulga: takto w istocie poezja odpowiada najwewnętrzniejszemu cierpieniu, jest jego instynktowym wyrazem, harmonijnym objawem naturalnego pragnienia. Kiedy wszystko już umilka, wtedy ta mowa najsłodsza jest jeszcze wylewem łez naszych.

Lecz w tym poemacie, jak i w innych tego rodzaju u p. Staël, jak „Jane Gray“, „Zofia“, więcéj warta intencja jak wykonanie. Uczucia jéj serca i piękność natury stanowią treść tychp oematów i są jéj natchnieniem.

Nieraz, w ten piękny kraj puszczam duszę chorą, —
Oczy moje płyną, toną gdzieś w jezioro,
Albo znowu na góry tam nadbrzeżne lecą,
Co wspaniale, śnieżyste nad wodami świecą.

Czemuż cisza i święty ten spokój przyrody
Uciekły tylko od méj duszy młodéj?
Czyż tylko człowiek wpośród tego ładu
Wyjątkiem, — łupem trosk, łupem nieszczęść jadu?!

To uczucie dysharmonii między świąteczną i wspaniałą przyrodą, a cierpieniami i śmiercią człowieka było zawczas gorzkiém natchnieniem wielu poetów. Od tego zaczyna Byron ironicznie drugą pieśń „Lary“, Lamartine w „ostatniéj wędrówce *Childe Charolda*“, Wiktor Hugo w pieśniach: „Zachodzące słońce“, „Liście jesienne“.

Lecz zkądże to pochodzi, że taki poeta duszą i wyrazem jak p. Staël, oddając wierszem to głębokie u niéj uczucie, wyraża je dosyć prozaicznie? Oto jarzmo miary i rymu jest dla niéj nieznośne, jéj myśl wolna w prozie — czuje się skrępowaną wierszem — który po prawdzie tylko wtedy jest namaszczony, jeżeli się rodzi równocześnie z myślą.

Wszystkie zdolności p. Staël zawrzały i rwiącym popłynęły pędem w burzy, którą przeszła. Jéj wyobraźnia, jéj uczuciowość, jéj badawczość i sąd, pomieszały się, zlały i skrystalizowały w pismach. „Studium o urojeniach“ oddecha już całą poetycznością „Delfiny“. Wyobraźnia p. Staël oziębiona widokiem rzeczywistości, ucieka się z radością do istnienia lepszego, szczęśliwszego, lub do tych trosk, których wspomnienie i opowiadanie przynajmniéj słodkie łzy wyciska. Lecz równocześnie pośród tych urojonych światów oświadcza się ona za romansem, mającym za podstawę prawdę i naturę, badanie i wprowadzenie w grę namiętności ludzkich, — ona chce je mieć bez mitologii i alegoryi, bez nadnaturalności fantastycznych, bez zbytecznéj przewagi tendencyj. Na czele takich ulubionych postaci stawia ona: „Klementynę“, „Klaryssę“, „Julją“, „Werthera“, jako przedstawicieli wszechmocności serca, — jak ich nazywa; — przeczuwa ona w sobie, że tym postaciom przybędzie niebawem siostra.

„Studium o urojeniach“ daje nam już poznać naturę i zalety jéj talentu; obok bystrości myśli, słów żywych, ścigających się nawzajem i głębokich, są tam wyrażenia delikatne jak tkanki pajęcze, dotykające raczéj przedmiotu niż go opisujące. — To stanowi osobną, właściwą jéj poezją, jéj melodją marzycielską — tu każdy ton jéj głosu drży od łez, Są to rzeczy, w których cała piękność leży w wyrażeniu, jak np. owo: „W tém życiu, które trzeba raczéj odbyć jak czuć.... Na téj ziemi są tylko same początki“.... albo ono np. wyrażenie się jéj o jednéj książce, które tak można stosować do własnych jéj dzieł; „Tak, ma słuszność ta księga, która dla boleści tylko jeden dzień rozrywki wyznacza; służy ona najlepszym z ludzi“.

Ten rodzaj natchnienia sentymentalnego, ten mistyczny odblysk, pochodzący z głębin duszy, opromienia także całą jéj książkę „O wpływie namiętności“, rozszerza w niéj pewien nieokreślony wdzięk, który dla pewnych boleściwych usposobień, w pewnym wieku życia, czyni tę książkę pożądańszą nawet od melancholii Ossjana i Obermanna. Pierwsze stronnice książki są zresztą i pod względem politycznym godne uwagi. Autorka, która zastanawia się obszernie tylko nad wpływem namiętności na szczęście pojedynczych ludzi, miała zamiar zgłębić w drugiéj części wpływ tych samych przyczyn na szczęście całych społeczeństw. Główne pytania, które świtały w tém ogromném badaniu, są podniesione i naszkicowane w wymownym wstępie. Tu stanęło przed nią straszne widmo terroryzmu. Walcząc z tém wspomnieniem krwawéj przeszłości, które ją prześladuje, wykrzykuje: „że nawet myślą nie chce tam wracać, że wobec tego strasznego obrazu odnawiają się wszystkie poruszenia duszy: dreszcz, zapał, żądza walki, pragnienie śmierci“. Pokolenia, (mówi daléj), późniejsze mogą na zimno owe lata rozpamiętywać; lecz ona zwraca się ku przyszłości: odłącza idee zacne, od niecnych ludzi, oczyszcza zasady postępowe od zbrodni, pod któremi chcianoby je zdusić, ona ma nadzieję ich zwycięztwa. O konstytucyi powiada, że Francja może się obejść bez fikcyj, uświęconych w arystokratycznéj ustawie angielskiéj. Oświadcza się nie za antagonizmem i równowagą władz, lecz za ich emulacyją w jednym kierunku, chociaż z rozmaitą prędko-

ścią. Wszystkie umiejętności, mówi ona, rozpoczynają od komplikacyi, aby dojść do pojedynczości; w mechanice były najpierw kołowe machiny, zanim nastały pompy. „Nie chcę przykładu robić dowodem; lecz może być, że kiedy sto lat temu idea wolności pojawiła się na świecie, wówczas skombinowana organizacja rządu angielskiego mogła być najwyższą doskonałością; lecz dzisiaj po rewolucyi podstawy daleko prostsze mogą prowadzić do równych, albo wyższych i lepszych rezultatów“. „Pozwólcie nam, mówi ona do Europy — walczyć, zwyciężać, cierpieć, umierać w pośród tego, cośmy ukochali, wśród naszych najdroższych skłonności, a potém odradzać się — może na podziw i uwielbienie świata! Nie jestże to szczęście dla was, że cały jeden naród stał się przednią strażą ludzkiego rodzaju, do walki z przesądami, do doświadczania zasad“?

Pod koniec wstępu, wraca autorka do namiętności osobistych, do umiejętności stworzenia sobie moralnego szczęścia, to jest, jak najmniejszego nieszczęścia. Mówiąc o potrzebie poświęcenia i działania, o litości zrodzonéj z poczucia dolegliwości drugich, o pieczołowitości w ulżeniu boleści wszystkich i każdego o współczuciu geniuszu dla wszystkich klęsk ludzkich, pani Staël wyraża się w słowach, których cudowną barwę i ton trudno określić. Tutaj jest pani Staël, jak nigdzie, geniuszem serdecznym i dobrym. . . .

Jéj pisma, jéj rozmowa, cała jéj osoba wywoływała zbawienne wzruszenie, które się udzielało wszystkim w około niéj, które się odnajduje i odżywia u czytających. Nie ma tam ani krzty ironii, ani krzty arogancyi względem biednéj ludzkości. Owszem, jak najgoręcéj odzywa się do wszystkich dobrych potęg naszych, ogrzewa je, ożywia. Efekt słów jéj jest zawsze godzący, miłościwy, budujący, a nie burzący. Dosyć przeczytać choćby jeden ustęp o miłości, te dzieje wewnętrzne serca, na pół milczące, na pół zasłonięte; słyszymy tam w nich tysiączne echa myśli, których się nigdy nie zapomni. „Życie duszy działa nierównie więcéj i szerzéj jak Cezar na tronie“.

Książka ta „O wpływie namiętności“ i druga „O literaturze“ przedstawiają w barwach młodości poezją i filozofią egzaltowaną, pełną entuzjazmu i czystą najpiękniejszéj epoki republikańskiéj; szły one równo z pochodem wojsk republikańskich za Ren i z pierwszemi tryumfami we Włoszech.

Pani Staël powróciła do Paryża w r. 1795 i odtąd już często i długo w nim bawiła. O jéj politycznéj konduicie nie wiele się będziemy rozpisywać, — główne rysy podała sama w „Uwagach nad rewolucją francuską“. W salonie jéj była mieszanina wyobrażeń, nieuchronna w owéj epoce. Dawni, zaślepieni rojaliści posądzali ją prawie o spółkę z jakobinizmem, wymyślono nawet dowcip: „że ona rzuca swoich przyjaciół do wody, ażeby mieć przyjemność wyłowienia ich żywych nazajutrz“. Z drugiéj strony najzapaleńsi członkowie konwentu utrzymywali, że ta niepodległa kobieta zawsze tylko w szeregach opozycyi się trzyma. Sprawiedliwiéj ją za to oceniało w téj epoce grono ludzi światłych i umiarkowanych jak Laujuinais, Boissy-d'Anglas, Caboanit, Garat, Daunou, Tracy, Chenier. Szanowała ich i szukała; lecz nie ograniczała się na nich wyłącznie, lubiła łączyć kontrasta i co do zdań, i co do ludzi, jest to i zaleta jéj i pewna słabość, która wraz z poważnym wdziękiem i szlachetnemi przymiotami jednała jéj przychylność nawet przeciwników i skupiała ich koło niéj.

Dzieło „Literatura w związku z instytucjami społecznemi“ wydała p. S. w r. 1800. Było ono wówczas wielką rzadkością w umysłowym świecie, bo się pojawiło w czasie, kiedy właśnie z upadkiem rzeczypospolitéj, a nastaniem cesarstwa zostały gwałtownie przerwane instytucje wolności politycznéj potrzebne do naturalnego rozwoju, kiedy się zaczęła rozsiadać reakcja katolicka, monarchiczna, arystokratyczna.

Pani Staël w tém dziele nie ulega temu wpływowi reakcyi.

Idea, któréj nigdy z oka nie traciła, idea geniuszu nowoczesnego, który postępuje, zdobywa, spodziewa się; idea nieskończonego doskonalenia się rodzaju ludzkiego, jest dla niéj sterniczą gwiazdą! „Nie sądzę — mówi ona — żeby to wielkie dzieło moralnéj przyrody mogło być kiedy przerwane; w epokach świetnych i w wiekach ciemności umysł ludzki postępuje zwolna“. . . . „Z dziejów nabywamy przekonania, że wszystkie wypadki główne dążą do jednego celu, do uniwersalnéj cywilizacyi“. . . .

(Ciąg d. nast.)

GRAJEK.

(z Poetefiego.)

Idzie grajek ulicą przez sioło,
I rzempoli na skrzypcach i śpiewa —
Ja myśl winem sprowadzam wesołą,
I tańcuję, aż lud boki zrywa.

Zagraj smutno dobry mój cyganie,
Niech się z smutków wypłaczę do woli —
Lecz pod oknem tém niechaj twe granie
Najweselsze piosenki rzempoli.

Bo tam mieszka gwiazda moja luba,
Która dla mnie błyszczy z tak daleka —
I przedemną kryje się — i czeka,
Jak też uda się z drugiemi próba.

Patrz cyganie! jéj to okno właśnie,
Graj wesołe piosenki i baśnie,

Niech fałszywa o tém się nie dowie,
Że mi życie zatruła i zdrowie.

J. K. T.

OBRAZY I OBRAZKI
z tatrzańskiéj wycieczki.

(Ciąg dalszy.)

II.

Na pół drogi prawie między Zabornią a Nowym-Targiem stoi na wzgórzu kościółek, a raczéj kapliczka, nazwana krzyżową, w chłodnym cieniu dużych lip. Dach pozieleniał i zagiął się od starości, szyby okien w ołowianych sześciokątach zapylone, zaszły tęczowemi barwami; około kościoła idzie poddasze, podparte rzeźbionemi słupkami — w tych podcieniach kilka konfesjonałów, równie misternie rzeźbionych. Snycerskie ozdoby przypominają bardzo frontony domów Wiszniewskich, których wyobrażenie zachował od zniszczenia ołówek Matejki. Dziwiło mnie, dlaczego tego kościółka nie widziałem dotąd w żadnéj illustracyi, w żadnym albumie, kiedy położeniem i strukturą sam się kładzie na papier. Ponieważ słońce już mocno dopiekało — a góra przez którą jechaliśmy była bezleśna, więc odpocząłem tutaj czas dłuższy, mając przytém nadzieję, zobaczenia owych pań z noclegu. Położyłem się na miękkiéj i bujnéj trawie, wśród miłego zapachu lip i brzęku pszczół. W ciemnych ramach drzew cudowny i szeroki malował się krajobraz, lekką, niebieskawą mgłą przeciągnięty. Widno było nowotargską równinę, haftowaną ciemnemi deseniami lasów, przeszytą srebrną nitką Dunajca — daléj na tle czystego błękitu nieba, który mnie leżącemu wydawał się jak płaszczyzna spokojnego morza, rysowały się śmiałe i poszarpane linie tatrzańskich szczytów. Tatry zaś same popielate, ciemniejsze, w załomach były podobne.... chciałem powiedzieć do skamieniałych bałwanów rozigranego morza: ale tego porównania już pamiętam ktoś użył. Możeby do chmur? I to porównanie już utarte, zużyte. Do czegoby ich tu porównać? myślałem — myślałem i — usnąłem. W tém słońcu, co złociło lipy i rozpalało oddechy wietrzyka, w miodowym zapachu kwiatów lipowych, wbrzęku pszczół był czar, był chaszysz, który mnie w rozkoszny sen ukołysał. Kiedym się przebudził, słonko już stanęło w południu wysoko.

— A te panie z Zaborni? spytałem górala.

— Pojechały już preczki — odrzekł, śmiejąc się.

— Czego się śmiejesz?

— Je, boście tak szpetnie leżeli gębą do ziemi, że młodsza panna pukała *) aże od śmiechu.

*) **Pukać** odpowiada naszemu pękać.

Nie kontent byłem z tego snu, który mnie fabrykanta owych wierszy, nad któremi się te panie zachwycały wczoraj, w tak niekorzystnéj pozycyi przedstawił dzisiaj. Zły siadłem na wózek i pojechałem daléj.

Biała wieża Nowotargska z świecącym dachem, wysuwała się już z za wzgórza, około niéj skupiły się domki miasteczka. Przed miastem na boku, po prawéj stronie gościeńca na wzgórzu, stoi oparkaniony kościółek św. Anny, na straży mogił starych i świeżo sypanych. W drewnianym kościółku w oltarzu obraz, o którym mówi legenda, że go zbójcy z Węgier przynieśli w ofierze, zrabowawszy rozumie się poprzednio gdzieindziéj. Nie pierwszy to kościółek, do którego czepiają się podania o zbójcach, jest takich więcéj. Jest wielkie pokrewieństwo tych podań z owemi z rycerskich czasów na zachodzie; między zbójcami tatrzańskimi a owymi rycerzami dość wyraźne podobieństwo: i ci i tamci zabijali ludzi i stawiali kościoły.

O samym Nowymtargu nie wiele da się powiedzieć; kościół i duży rynek, na którym ledwie kilka kamienic murowanych, stanowią rdzeń jego, nizka buda na środku ma przedstawiać ratusz, pani pocztmistrzowa, aptekarzowa, naczelnikowa i kupcowa, liczą się do arystokracyi miejskiéj; targi stanowią dochód miasteczka, nadają mu ruch, życie i nazwisko. Ulica prowadząca w stronę Szczawnicy jest najwięcéj zaludniona, i zabudowana; przez pelargonie i gieranie mieszczanki Nowotargskie kukają na przejeżdżających — a przed sklepem Lauera na zielonych ławeczkach urzęda w godzinach nie biurowych palą fajki i rozprawiają o polityce. Chcąc obrazkom moim nadać pozór uczoności, dodam jeszcze, że równina Nowotargska wznosi się nad poziom morza 1847', że za miastem niedaleko mostu, biały i czarny Dunajec odbywają swoje zaręczyny i odtąd jako małżeństwo, spólnie i pod jednem nazwiskiem płyną do Wisły. Oprowadziwszy was w ten sposób po stolicy Podhalan, siadam znowu na wózek, który terkocząc po kamienistéj drodze, wiezie mnie ku Szaflarom. Dwór biały, otoczony długim murem wyszedł na spotkanie i usiadł przy drodze. Za dworem obok wielkiego lasu skała na 2173' n. p. m. — na niej coś jak kapliczka, jak altanka, wśród krzaków dzikiego agrestu i wrzosów. Ma to być pamiątką po zamku Komorowskich. który tu stał dawniéj, a którego resztki (bo w świecie nic nie ginie), podpierają teraz może piwnice nowego dziedzica, lub stanowią podmurowanie jakiéj chłopskiéj chaty.

Zanim opuścimy Szaflary, odznaczające się pięknym, murowanym kościołem z kamiennemi wschodami, muszę was zatrzymać Sz. Czytelniczki przy jednéj szczerwieniałéj furtce w parkanie, prowadzącéj do ogrodu pełnego drzew owocowych, za któremi stoją ule, wśród polnych kwiatów dziko i bujnie rosnących. Pokazuję wam ten nie wielki, pachnący sadek dlatego, że kiedyś

mieszkał tu konfederat barski, jeden z pierwszych rozbitków politycznych, a umierając, domek i sad zapisał kościołowi. Domek się już rozsypał — sad pozostał. Później więcéj takich ludzi chowało się w tatrzańskie okolice, między innymi: Seweryn Goszczyński po listopadowém powstaniu tu w górach czas jakiś się ukrywał; „Sobótka“, „Dziki strzelec“, „Oda“, „Dziennik podróży“, są utworami, zrodzonemi pod wrażeniem gór i legend tutejszych.

Mijając cmentarzyk pięknie ułożony z ciemnych rzecznych kamieni, na których chwasty i dziewanny bujnie się krzewią. spostrzegłem na środku drogi górala, w nędznéj, obtarganéj guńce. Stał jak drogoskaz w środku drogi, woźnica mój nie wołał na niego wcale, żeby się usunął — ale zjechał nieco na łąkę i objechał go. Góral patrzał na to jedném okiem wytrzeszczoném, nieruchomém, (drugie wyciekło) — usta miał otworzone, a sterczące kości policzkowe świeciły od potu.

— Czemu zjechałeś z drogi? spytałem zadziwiony.

— Je, bo tam człowiek.

— Toć łatwiéj jemu, niż nam usunąć się z drogi.

— Onby się panocku nie usunął, bo on ma taką chorość, co jak stanie na jedném miejscu, to będzie stał i trzy i cztery dni, ani spi, ani jé, ani pije. Dopiero jak go opuści, to słabnie okrutecznie, spadnie gdzie w rów i spi.

— I z czegóż mu tak przyszło?

— Ba, któż to wie? Jego matka była taka głupia i babka także. Mówią ludzie, że im to za karę przyszło. Do ich babki przyszła raz dziadówka i prosiła o placek owsiany, bo prawie konała z głodu — ale ta skąpa baba udać chciała, że nie słyszy i nie widzi i niby zapatrzyła się mocno na gościeniec, zkąd miał wracać jéj mąż z jarmarku. Żebraczka poszła daléj, a ona stała; wrócił mąż i woła ją do chaty, a ona ruszyć się nie może. I tak stała trzy dni. Odtąd choroba czepiła się tego rodu.

Skończył góral opowiadanie i zaciął konia — ja obejrzałem się po za siebie, góral sterczał wśród kamienistéj drogi, jak pal wbity. Takich nieszczęśliwych, upośledzonych, wiele znajdzie się na Podhalu, więcéj jeszcze w okolicach Myślenic, i Jordanowa. Dla nas są takie egzemplarze wstrętnemi plamami. walającemi nasze uciechy i przyjemnostki; unikamy ich odwracamy się od nich; dla ludu są one żywą nauką moralności i miłosierdzia.

Ten biedny, wymokły, dziubaty góral długo jeszcze stał mi przed oczyma i odprowadził na jakiś czas moje myśli od jasnych, wesołych widoków w ciemną przepaść nędz i chorób ludzkich, z których się wydostałem za zbliżeniem do wsi, zwanéj Biały Dunajec. Zwrócił moją uwagę domek, w guście szwajcarskim budowany, z piękną rzeźbą w przyczółku, z ganeczkiem stojącym nad dwoma bramkami, prowadzącemi do piwnicy. Miejsce koło domku wyłożone płytami kamieni, obok figura przy drodze, a za nią sztachetki ogródka, w których stały „dzierżony“. Jest to mieszkanie wójta Pawlikowskiego. Człowiek to bywały, a nie głupi. Skończył szkoły i osiadł na wsi. Jest więcéj takich w Podhalach przykładów. Gazdowie zbogaceni oszczędnością i pracą, łożyli na wykształcenie swych dzieci, a te doróslszy, z procentem spłacali dług wdzięczności rodzicom i wiosce. Świadczy to z jednéj strony o przywiązaniu do gór tych ludzi, a z drugiéj o ich rozumie. Świat ma dosyć aplikantów, doktorów, gryzipiórków, ale rozsądnych i wykształconych chłopów mało. Ci ludzie chcieli nabyty w szkołach rozum zużytkować na rzecz swych braci włościan. Samo już towarzystwo ich wpływa korzystnie na drugich, czego widoczne są ślady.

Gdyśmy wyjechali za Biały Dunajec, spostrzegłem z okolicznych gór snujących się jak biedronki sznureczkiem ludzi, w kierunku do Poronina.

Spytałem górala o przyczynę.

— Dziś Maryi Magdalanki — odpowiedział — na Bańkowie święto juchasów.

— Gdziesz to Bańkowka?

— Ano hajnok — i pokazał na wioskę, do któréj właśnie dojeżdżaliśmy.

— A wszak to Poronin.

— Tak go tam pany przezwały, ale ludzie zwią go Bańkówką od wieków.

Stanęliśmy właśnie przed kościołem — mnóstwo ludzi zapełniało cmentarz kościelny, na dzwonnicy kołysały się dwa dzwonki, oznajmując rozpoczęcie sumy. Z trudnością wcisnąłem się do kościoła, ale mnie ztamtąd wnet wypędził zaduch i nieprzyjemny zapach masła, którém górale obficie smarują swoje długie, czarne włosy. Jest to woń, którą na wskroś przesiąkają i o ile kwiaty ich gór są wonne, o tyle sami mieszkańcy nie przyjemnie pachną. Szczególniéj juchasy, którzy biorąc jednę tylko koszulę w góry na kilka miesięcy — gotują ją w maśle, dla zabezpieczenia się od robactwa, którego tu przez grzeczność nie nazwę. Koszule tego rodzaju mają barwę ciemno-popielatą, a połysk stalowy. O ile ich ubiór nie przyjemny dla powonienia, o tyle piękny dla oka. Miałem sposobność przekonać się o tém w Poroninie, dokąd na odpust wielu juchasów zeszło z gór. Ubiór ich składa się z czarnego kapelusza z małym okapem, ubranego w białe muszelki, z owéj ciemnéj, krótkiéj koszuli z szerokiemi rękawami, do końca których poprzyczepiane są kolorowe kutasiki. Koszula pod szyją spięta mosiężnemi klamerkami, końce jéj wsunięte za wysoki pas skórzany, nabijany w desenie mosiężnemi kółkami. Na nogach opięte spodnie, z węgierska wyszywane. Strój taki przy giętkiéj i kształtnéj budowie ciała, jaką się odznaczają właściwi Podhalanie, bardzo pięknie wygląda.

Za to strój góralek świąteczny wcale nie powabny, jedyną jego ozdobą żółte buciki, na wysokich, a wązkich obcasikach, wymagających gimnastycznéj zręczności w chodzeniu. Toteż elegantki góralskie rzadko się z niemi popisują — na bosaka drobią do kościoła, niosąc buciki pod pachą i dopiero przed kościołem wdziewają „tę paradę“. Kołodziejki i sołtyski liczące się do najgrubszéj arystokracyi wiejskiéj, chodzą z krakowska. Z przyjemnością zauważyłem, że większa część zgromadzonego ludu, a szczególniéj kobiety z książek się modliły. Ta moda u nich się przyjęła. Wyraźnie mówię: moda. Górale, a szczególniéj góralki są chełpliwi, próżni nieco. Przebija się to w ich tańcu, przebija się w ubiorze i modlitwie nawet. Czytać na książce, należy u nich do popisu, do dobrego tonu, ztąd emulacja i chęć do nauki czytania i do nabożnych grubych książek. Tylko takie są tu pożądane. Kiedym jednéj góralce przywiózł nie wielką książeczkę do modlenia zauważałem, że pomimo eleganckiéj oprawy książka jéj nie przypadła do smaku, a gdym ją ośmielił do odpowiedzi rzekła:

— U nas takie nie modne — to tylko dla dzieci.

Więc i tutaj moda wciska się za kościelne progi i nie tylko miastowe panie nią grzeszą. Bądź jak bądź dzięki téj emulacyi i téj modzie, wiele ludzi nauczyło się czytać, a niektóre nawet co nieco napisać się odważy.

Ale też na têm koniec; ani plebanje, ani dwory nie dbają o to, by na tym gruncie urosła oświata; dziedzice skąpiąc im drzewa, winniby przynajmniéj w książki ich zaopatrzyć.

Ale dość uwag, spieszę do Zakopanego.

Ciąg d. nast.

Z PRZYRODY.

Stereoskopy.

Niedawno pojawiły się stereoskopy, a już w każdym prawie znajdują się domu. Niska ich cena, a ztąd wielkie rozpowszechnienie, zadziwiające efekta tego pojawu optycznego, który wielce ulubionym się staje (niedawno temu mieliśmy w Krakowie wspaniałą i licznie odwiedzaną stereoskopową wystawę) — oto powody dla których bliższe objaśnienia w tym przedmiocie zapewne pożądanemi będę dla czytelników naszych.

Stereoskop, jeden z magicznych instrumentów umiejętności i przemysłu nowoczesnego przedstawia się w kształcie pudełka o dwóch otworach uzbrojonych w szkła, któremi się patrzy. Podwójny rysunek, obraz, miniatura, podwójny dognerotyp, figura geometryczna, ustawiona w głębi pudełka i widziana równocześnie oboma oczami — daje złudzenie wypukłości — odtwarzają się kształty rzeczywiste — obraz staje się rzeźbą.

Wyraz stereoskop wzięty jest z pięknéj mowy greckiéj, któréj żadna inna treściwemi wyrażeniami myśli nie mogła dorównać — narzędzie *Stereos*, znaczy to, co Niemcy nazywają *massiv*, a więc rzecz jakąś, mającą wysokość i szerokość i długość i ciężkość, rzecz, któréj się dotknąć, którą objąć można, zas *skopos* — znaczy spojrzenie, widzenie.

Cały więc wyraz oznacza widzenie przedmiotu rzeczywiście, wypukło, namacalnie, i rzadko które narzędzie tak było wierne swojemu nazwisku. Stereoskop więc ma za zadanie przedstawienie naturalne, plastyczne, wszelkich przedmiotów natury, mogących być oddanemi ołówkiem, pędzlem, kamerą ciemną, daguerotypem. W jakiż sposób powstaje to magiczne złudzenie? Stereoskop sprawia w każdém oku za pomocą podwójnego wyobrażenia przedmiotu to samo wrażenie, jakiegoby oba oczy doświadczyły na widok tegoż przedmiotu w przyrodzie; ztąd pochodzi, że wrażenie z widoku naturalnego i z stereoskopu jest zupełnie jednakie. Obrazek prawy wzięty jest wyłącznie z oka prawego, przy zamknięciu lewego — tak samo znowu lewy, przy zamknięciu oka prawego. Jeżeli więc oba widzenia obu oczu są równocześnie przedstawione, więc wydaje się, jakobyśmy w istocie na sam przedmiot, widok, itd. patrzeli i widzieli go w naturalnych rozmiarach szerokości i długości.

Mając podwójne wyobrażenia jakiego przedmiotu, np. osoby, budynku, biustu, maszyny choćby najzawilszéj, lub widoki; możemy za pomocą stereoskopu uosobistnić sam przedmiot, rzeźbiarz może go ze stereoskopu modelować, jak z natury. Mieszkaniec Japonii, albo Nowéj Islandyi może przysłać do nas jakiemu rzeźbiarzowi tylko swoją podwójną, stereoskopową fotografję; a odbierze swój biust, zrobiony według téjże, jak gdyby sam rzeźbiarzowi siedział.

Nazwa i pierwsze próby tego narzędzia należą się Anglikowi *W. Zeatstone,* sławnemu fizykowi temu samemu, który zmierzył prędkość elektryczności, znalazł ją równą prędkości światła, które w jednéj sekundzie siedm razy ziemię obiedz może. On także jeden z pierwszych urządzał telegrafy elektryczne.

Owo stereoskopowe spostrzeżenie zrobił on najpierw na dwóch zwierciadłach, złożonych jak dwie okładziny książki, a połączonych tuż koło nosa: patrząc naraz w oba zwierciadła, w których się odbijał rysunek, otrzymał ten efekt jakby patrzał na przedmiot plastyczny, wypukły. Lecz jak powiada *Brewster,* właściwy wynalazca dziś upowszechnionych stereoskopów, był to raczéj sposób, jak narzędzie, i przez kilkanaście lat zapomniano o tym pięknym wynalazku. Jeżeli można wierzyć niepewnym podaniom, to już przed wiekami jakiś mechanik babiloński nad brzegami Eufratu czy Ty-

grysu miał przedstawiać rodzaj podobnego przyrządu na wystawie, w r. 1851. przed Chr.

Są to jednak blade domysły, na które się oglądać nie będziemy, wróćmy raczéj do *Sir Dawida Brewster*:

Usiłowawszy napróżno namówić optyków i fotografów londyńskich do sporządzenia stereoskopu i podwójnych daguerotypów dla niego, przywiózł p. *Brewster* do Paryża w r. 1850 ładny instrument, wykonany przez *Loudon'a* optyka i dwurzutowy portret. Pokazał go uczonym i optykom, którzy pojęli zaraz znaczenie tego narzędzia nietylko jako zabawki zajmującéj magicznemi efektami, lecz również jako ważną pomoc dla sztuk, rysunku i rzeźby.

P. *Duboscq* wziął się do wydoskonalenia nowego wynalazku, i wykonał zaraz mnóstwo pięknych, najrozmaitszych daguerotypów dwurzutowych, z przedmiotów żywych i nie żywych, ludzi i posągów, pomników, drzew, przyrządów, i tysiączny tłum począł się cisnąć do oglądania ich. Na wystawie londyńskiéj w r. 1850, p. *Duboscq* otrzymał wielki medal za stereoskopy. Zamówienia, jakie dostawał tak były liczne, że wielu, optyków angielskich oddało się wyłącznie wyrabianiu stereoskopów, których też i rzeźbiarze zaraz do modelowania używać poczęli.

I czyż nie należy nam się cieszyć, widząc jak obrazy fotograficzne nabierają życia i całą przeszłość uobecniają nam i żywo przed oczy stawiają. Możemy widzieć, jak Demostenes rzuca pioruny wymowy przeciw królowi macedońskiemu, jak Brutus godzi na Cezara u stóp posągu Pompejusza, jak św. Paweł każe do Ateńczyków, albo jak o n, k t ó r e g o i m i ę n i e p o t r z e b u j e b y ć w y m i e n i o n e w postaci pełnéj dobroci i piękności niebieskiéj, ogłasza oswobodzenie rodzaju ludzkiego. Brzydkie mumie egipskie zachowały od ogólnego zepsucia zaledwo szczątki królów — nieśmiertelność stereoskopowa zachowuje wcielone formy życia — może uobecnić najpóźniejszym pokoleniom wszystko, co zacne i wielkie, godne pamięci i miłości.

Kto odwiedzał w Londynie nieporównaną bazylikę w Westminster, albo dom Inwalidów morskich w Greenwich, podziwiał tam zapewnie woskowe posągi Maryi Stuart, albo Nelsona. O ileż są wyższe uosobistnienia stereoskopowe, które w naturalnéj wielkości uobecniają nam przedmioty.

Stereoskop przemienia daléj płaską kartę kraju na plan z wypukłościami, w których występuje cała fizyczna geografja kraju. Cała mapa księżyca, w odległości 360,000 kilometrów, przedstawia się nam w widokach stereoskopowych, z jego wulkanami, kraterami, z całą topografią téj planety nierównie dokładniéj, jak mapa okolic Afryki, sąsiadujących z muzułmańską ludnością Francyi.

Pod nazwą bioskopu wprowadził p. *Duboscq* do stereoskopu ruch. *(Bios*, znaczy — życie).

Grę kolorów, ich zmięszanie się, i wpływ wzajemny, można łatwo otrzymać zapomocą takiego ruchliwego stereoskopu.

Narzędzie to zyskało popularność samo przez się, bez protekcyi i reklamy, tak jak telegraf, lokomotywa, daguerotypia i inne wynalazki znaczniejsze; zyskało popularność szczególniéj przez swoje zastosowanie do umiejętności; jak również przez to, że wywołuje efekta piękne, prawdziwie artystyczne.

Patrząc na tę mnogość wynalazków ostatnich dwóch stuleci, mimowolnie musimy sobie postawić nieraz pytanie, zkąd ta obfitość tak nowych, tak pięknych, tak użytecznych, tak cudownych wynalazków? Powstały one i rozmnożyły się na grobie metafizycznych umiejętności, na zgliszczach mglistéj filozofii.

Dawniéj w szkołach i książkach silono się zbadać i wyjaśnić, to co się zbadać i wyjaśnić nie dało; jak np.: co to jest wieczność, dusza, istność itd. myśl ludzka rozbijała się w chaosie błędnych kół i urojonych systematów, nieznając ziemi pod nogami. Dzisiejsza umiejętność jest nierównie skromniejsza, zadawalnia się tém, co jest przystępném dla badania, nie mówi o pojęciu czasu, tylko liczy go na godziny i lata, nie mówi o przestrzeni, lecz mierzy ją na sążnie i mile — nie mówi o istocie materyi, ale waży przedmioty na funty — nie wie wprawdzie co to jest siła i zkąd się bierze; ale jéj używa, dobywa ją sobie przez parę, mechanikę, ujarzmia i potęguje według potrzeby.

Wszelkie f i l o z o f o w a n i e o tém, co ma być za przyrodą naszych słonecznych światów — to wszystko do umiejętności nie należy, jest to dziedzina wiary, uczucia fantazyi. Potęgi te bujają na skrzydłach; lecz umiejętność tylko na pewnych nogach, tylko na pewnéj podstawie c h o d z i ć może. Podstawą jéj: b a d a n i e i sąd, przedmiotem: p r z y r o d a, to jest wszystkie twory, wszystkie ziemie i wszystkie słońca, o których istnieniu badanie przekonywuje.

KORESPONDENCJE.

Paryż z wystawy.

I.

Gdzie jest Algierja? Między Francją a Niederlandami. Chodźmy tam dzisiaj; po drodze zawadzimy o sąsiednią Brazylją; na śniadanie zjemy kawioru w Rosyi; na herbatę zejdziemy się w Chinach.... Oto jedna z codziennych rozmów pomiędzy widzami, którzy podróżują naokoło świata, w parku zajmującym 40 hektarów. W tym zakącie zwanym „Polem Marsowém“ nie ma przestrzeni pomiędzy biegunami i nikogo to nie dziwi. Wszystkie narody objąć jednym rzutem oka, to rzecz zwykła dla ludzi XIX. wieku. Ludwik XIV. mawiał niegdyś w swoim zaborczym zapale: „j u ż n i e m a P i r e n e ó w“ — dzisiaj dla nas wszystkich nie ma ani oceanu, jedną nogą dotykamy biegunu, drugą równika. Wprawdzie to wszystko tylko na kilka miesięcy — niemniéj jednak prawdą jest, że jak góra nie chciała przyjść do Mahometa, ale sam musiał

iść do niéj — to dzisiaj przeciwnie i góry i lasy i miasta, i wody i ludzie i zwierzęta przyszły do nas i przedstawiają się. Wszystkie pięć części świata rozkładają przed nami swoje towary, wyroby, maszyny, sztuki, broń, zwyczaje, mieszkania, swoją fizjonomją, swoją cywilizację i oświatę. Zaprawdę podróżując wśród nich, nie możnaby tyle i tak dokładnie widzieć. Któż bowiem nawet po kilku miesiącach pobytu np. w Australii, mógłby się chełpić, że zna ją na wskróś, tak jak my z wystawy: taki widok ogólny przez fotografie z Wiktoryi — czynność umysłową przez zbiór tamtejszych dzienników i książek — rozmaite typy ras krajowych, przez postacie zdjęte z natury — wyroby górnicze, przez okazy kamieni, metali — produkta roślinne, przez okazy żywe, przed nami rosnące, a obok, wszelkie z nich wyroby — przemysł, przez ich płótna, materje, skóry itp. — pokarm, przez ich chleb, mięso, wino, likiery; a tak ma się rzecz z każdym krajem; kto nie chce, widzi co gdzie jest, jakie jest, i czego nie ma. Prosta przechadzka odsłania nam to wszystko i uczy bezwiednie. Jest to ogromną zasługą wystaw powszechnych, w wieku gorączkowéj działalności, gdzie nie ma czasu, ani sil, żeby się nauczyć w porę wszystkiego co potrzeba — że objaśniają prędko i prawdziwie. Chociażby ktoś przechadzał się obojętnie, niech tylko ma oczy otwarte, a odbędzie kurs geografii handlowéj, przemysłowéj i moralnéj, w tém collegium narodów. Dobrobyt i wartość umysłowa każdego kraju zależy od stopnia oświaty, od ilości znanych i praktykowanych prawd, tak w dziedzinie umiejętności, jak i przemysłu, w ogóle na każdym kroku społecznego życia — zależy od siły i pewności przekonań, od rozległości moralnych granic, tj., czy oświata kończy się na pewnych warstwach tylko, czy też rozlewa się na cały naród, na fraki i na bluzę — chciałem powiedzieć: na siermięgę. A jeżeli tak jest, to ta masa pieniędzy, które wystawa do Paryża sprowadza, nie jest straconą. Niechaj tylko te olimpijskie igrzyska XIX. wieku wywołają istotną pomiędzy narodami pokojową emulacją na drodze postępu, niechaj każdy podróżnik uczy się, porównuje, odnosi wszystko do stanu i potrzeb własnego kraju, niechaj ciekawość jego będzie pracą; a nie ma kraju, zawodu i człowieka, któryby przez taką wystawę (byle chciał), nie z y s k a ł i n i e d o j r z a ł. Wtrącę tutaj, że wszystko co piszą o drogości w Paryżu i ścisku z powodu wystawy, jest czystą bajką, b l a g ą korespondentów, którzy chyba nie widzieli Paryża. W takim Babilonie, w którym rzeczywiście jak w ognisku cały świat się zestrzela, nie znać nigdy przybytku ludzi, a ubytku nigdy nie ma. Toż samo i na wystawie na drugie 60,000 codziennych gości byłoby miejsce, bo jeżeli w którym kraju to jest oddziale będzie chwilowy ścisk, to otwarta droga gdzieindziéj. Wyłącznie z powodu wystawy przybyło tylko kilka omnibusów, machin ogromnych na 50 ludzi — i na tém koniec. Oczywiście, że spekulacja i szarlatanizm zastawiłyna kieszenie cudzoziemców tysiączne sidła — alеż od tego głowa na karku i stosunki, zwłaszcza dla nas przez emigracją ułatwione, żeby się nie dać ani oszukać, ani wodzić za nos.

Były już w „Kalinie" opisy ogólnego widoku wystawy, o tém więc tylko jeszcze kilka słów.

Magja inżynierów zamieniła obszar pustego pola w cienisty park i miasto, miasto dziwne, mozajkę z wszystkich miast świata. Jest ono wypełnione pałacami, posągami, kaskadami, warsztatami, kościołami, minaretami, sfinksami, fabrykami, restauracjami; jest to czarowny kraj z t y s i ą c a i j e d n é j n o c y.

Ustawienie pałacu i parku kosztowało 26 miljonów — wypełnienie ich przez wystawców przynajmniéj połowę tego — dochód za wstęp przyniósł dotąd 4 miljony. Cały obszar wystawy jest to jakby Kraków. Przykrywszy Kraków szklanno-żelaznym dachem w kształcie elipsy — to plan i rozłożenie będzie jednakie. Rynek tworzy „o g r ó d ś r o d k o w y" — w miejscu sukiennic p a w i l o n, w którym są monety, papiery, wagi i miary z całego świata, z rynku idą dośrodkowo promieniami ulice, każda obejmuje jeden kraj; przedmioty w nich ustawione według grup, tak, że przecięcia poprzeczne wszystkich ulic naokoło tworzą galerje, obejmujące przedmioty z wszystkich krajów, a należące do jednéj i téj saméj grupy, Oczywiście, że nie tylko każda ulica, ale każda grupa prawie każdego kraju zajmuje kilka sal. Na około tego wszystkiego co się mieści pod dachem rozciąga się, jak w Krakowie planty, park z dodatkami do każdego kraju — prowadzi do niego 6 głównych bram, a z jednéj strony oblewa go Sekwana.

Oto więc ten kolos i labirynt podzielony tak wyraźnie i jasno, że zupełnie przewodnika nie potrzeba.

„Pole Marsowe" ogromna przestrzeń, jeszcze większa wspomnieniami — było najodpowiedniejszém miejscem dla tego turnieju nowożytnej cywilizacyi. Tu się odbywały zgromadzenia narodowe, patrjotyczne, tutaj ogłoszono pierwszy raz w Europie świętą ideę braterstwa politycznego pomiędzy wszystkiemi ludźmi i narodami. Tutaj też postawiono w r. 1798, pierwszą salę dla wystawy przemysłowéj, którą 110 wystawców obesłało.

Ci, którzy widzieli pałac kryształowy w Londynie, wystawę tutejszą z r. 1855, wątpili, czy nowy pałac dorówna tamtym. Dzisiaj słychać tylko jeden głos podziwu dla okazałości i praktyczności. Pierwsze wrażenie jakie wystawa robi, jest to pewien rodzaj religijnego uszanowania dla téj braterskiéj wspólności, woli i pomysłów, która na jedném miejscu zgromadziła narody na święto, jeżeli nie pokoju — to pracy i rozwoju. Przedstawia się widzowi XIX. w. zdolny do wielkich pomysłów, pełen szlachetnych ideałów p r z y s z ł o ś c i, namiętny we współzawodnictwie, płodny w wynalazki, wspaniały w usiłowaniach swoich. Jest to wcielona encyklopedja potęgi wiedzy i woli ludzkiéj.

Wystawców jest 42,237, nagród rozdano 11,000. Pałac nie jest piękny — inne względy musiały przeważyć; jest to po prostu kolos, gigantycznéj metalurgii — nie jest to dzieło sztuki pięknéj, obszedł się bez elegancyi — wszystkiem tém świetnieje dopiero otoczenie jego. Celem budowy pałacu jest użyteczność, dziwem, jego ogrom, zasługą, gościnność wszechświatowa, treścią, co świat ma najlepszego. Jest tylko sam dół, bez piątra, dach przykrywa wszystkie galerje, i dodatkową: p o k a r m o w ą, idącą na zewnątrz od strony parku, a obejmującą kuchnie wszystkich narodów. Środkiem galeryi pierwszéj idzie naokoło żelazny ganek, z którego w i n d y prowadzą do altanek na dachu.

Nie dosyć było stworzyć pałac — trzeba było żywić go, dać mu powietrze, wodę i światło. A więc w piwnicach urządzono wentylatornią, zajmującą łoże 14 hektarów, rozprowadzoną po wszystkich galerjach; a obok tych piwnic idą piwnice, ustąpione dla restauracyj. Wody potrzeba było tak dla utrzymania czystości, chłodu, jak i dla utrzymania w ruchu wszystkich maszyn wystawionych, które bezustannie pracują, jak również dla utrzymania ogrodów, i bezpieczeństwa w razie ognia. Stworzono więc kaskady, fontanny olbrzymie, stawy, rzeczki, kanały, polewacze. Pięć pomp, pięć płuc żelaznych czerpie wodę z Sekwany, i rurami zasila wszystkie potrzeby pałacu i parku; żłoby dla wentylacyi oddają tutaj drugą usługę. Inżynierskiéj pracy publiczność wcale nie widzi, zdaje się, że woda rodzi się tu ze źródeł. Obok kanałów, wodnych rur i wentylatorów, plącze się sieć rur gazowych — pałac wprawdzie oświeca słońce przez dach szklanny, ale zato wiele z drobniejszych przemysłów pracuje przy ogniu gazowym, a i park wieczór musiał być oświecony. Służbę wewnętrzną pełni 553 policjantów *(sergents de ville)*, 52 ajentów tajnych, 140 gwardzistów paryzkich. Całą noc obchodzi pałac 100 gwardzistów z latarniami.

Rozpoczniemy wędrówkę po tym świecie, stworzonym na kilka miesięcy, rozglądając się od punktu środkowego, potem puścimy się równocześnie naokoło kręgami, to jest według przedmiotów, i promieniami, to jest według krajów — co na papierze, a raczéj w myśli jest możliwe. Zatrzymując się przy tém co nas bliżéj obchodzić może, następnie pobłądzimy po parku, a nie ma obawy, żeby nas zamknięto, bo przed odśrodkową codzienną obławą policyi francuzkiéj, chyba tylko szczury mogą się ukryć.

Stajemy więc w pawilonie centralnym. Na wierzchu kopułki glob ziemski, który w 24 godzinach obraca się koło swojéj osi — cztery zegary oznaczają czas liczbami rzymskiemi, tureckiemi, arabskiemi i indyjskiemi. We środku ułożone monety, miary, i wagi. Dziwne to robi wrażenie widząc, jakie drobne środki kawałki kruszcu, lub świstek papieru, służą do wzajemnéj wymiany produktów wszystkich krajów. Ogromna rozmaitość tych środków dowodzi sama z siebie potrzeby porównania ich, sprowadzenia do téj saméj jedności, do czego właśnie dzisiaj cywilizowane kraje dążą. Jednotliwość ta ułatwiona takim zbiorem byłby to może największy owoc wystawy, najważniejsza nowość, godna naszych czasów.

Pawilon ten otoczony jest ogrodem centralnym. Jest to oaza świeżości i wypoczynku; murawy, klomby, woda, posągi, cień. Ztąd udajemy się do przeszłości, aby zobaczyć, którędyśmy szli, jak długo i jakim krokiem, ażeby dojść tam, gdzie dziś stoimy. Kręgi rozpoczynają się bowiem od nadliczbowéj galeryi, noszącéj nazwę: „historja pracy". Cała wystawa zresztą jest okazem pracy dzisiejszéj — stosownie zatém jest oglądać się w galeryjach dalszych najpierw po za siebie. Zanim przebiegniemy tysiące mil przestrzeni — tutaj przesuwa się przed nami setki lat czasu. . . .

Gimnastyka żeńska — przez Dra. Kloss, dyrektora król. zakładu w Dreznie — wyszła obecnie z druku w Wrocławiu, w języku niemieckim. Na czele jest motto z Richtera: „Zaniedbane ćwiczenia ciała są jednę z głównych przyczyn niepiękności kobiet — każda powinna uważać sobie całe życie za obowiązek rozwijanie siły muszkulów swoich". Byłoby bardzo użyteczém, gdyby który lekarz tę książkę dla nas na polski język przerobił. Sprawa ta zajmuje obecnie w innych krajach i rządy i instytucje, jako jedna z najnaglejszych. Dr. Gräfe powiada w raporcie do pruskiego ministerium oświecenia: „Po systematycznéj gimnastyce dziewcząt, która się nie tylko ogranicza na pływaniu, ślizganiu i gonitwach, możemy się spodziewać najpomyślniejszych skutków. Blade, słabe, nieporadne istoty, o złém trzymaniu się, zamieniły się w świeże, silne, zręczne, prosto się trzymające. Doświadczenie stwierdza, że wczesna od 7-8 roku rozpoczęta i systematycznie prowadzona gimnastyka, ratuje przeciw garbatości i pochyleniu, nawet gdzie ono było dziedziczne".

W r. 1863 miał Dr. Klopsch w Wrocławiu w stowarzyszeniu szlązkiem wykład téj treści: „wychowanie żeńskie potrzebuje naprawy ćwiczeń cielesnych stokroć więcéj, jak męzkie".

W r. 1864 wykładał w tym samym przedmiocie Dr. Szillbach przed zgromadzeniem nauczycieli gimnastyki, poczém powzięto uchwałę, że gimnastyka dziewcząt winna być jako gałęź nauki w publicznych szkołach zaprowadzoną. W wyższych żeńskich zakładach w Wrocławiu już to nastąpiło. Do komitetu zawiązanego w tym celu przyłączyły się wszystkie właścicielki zakładów wychowawczych. Uczennic jest mnóstwo, nauczyciele i nauczycielki mają dużo do roboty. Reif otworzył stały kurs o estetycznéj gimnastyce.

Powyższa książka Dra. Klossa przeznaczoną jest dla rodziców, nauczycieli i wychowawczyń. Treść bogata obfituje w najzdrowsze wskazówki do rozumnego wychowania. Jest tam teorja i historja gimnastyki odnośnie do kobiet; rozwój zasad Adolfa Spiesa z Darmstadtu, które ogólne znajdują przyjęcie, za przykładem rady miasta Frankfurtu, które téż dla szkół żeńskich wystawiło i osobny gmach na gimnastykę; daléj o fizjologiczném znaczeniu gimnastyki dla organizmu; stosunek jéj do słabości, jak skrzywienie kości pacierzowéj, blednica, niedokrewność, gruźlica, histerja, rachitis.... W szczególnéj części są rozdziały, o wychowaniu niemowląt, dziewcząt, panien, o stosownych zakładach dla rozmaitych wieków; na końcu właściwe instrukcje.

Nakładem księgarza Kaufmana w Warszawie, poczęła wychodzić *„Biblioteka domowa"*, cena tomiku bardzo przystępna, 1 złp. (25 c.). Tomik 1. obejmuje powieść *J. K. Turskiego*, p. t. „List zabójczy" — tomik drugi będzie obejmował: *„Niewiasty greckie"*, studjum przez M. Bałuckiego.

Literatura francuzka poniosła obecnie stratę przez śmierć *Franciszka Ponsarda*, poety, członka Akademii. Był to duch czysty, pracownik wytrwały, apostoł idei wzniosłych, postępowych, sługa wolności i wielki talent. Celniejsze dzieła jego są: Przekład „Manfreda" z Byrona; „Lukrecja", „Karolina Corday", tragedje; „Honor i pieniądze"; „Giełda", „Co się podoba kobietom", komedje; „Lew zakochany", komedja historyczna, której przekład podaliśmy w dodatku, a nakoniec dramat „Galileusz".

Wydawca Szczepański Alfred. Redaktor odpow. Michał Bałucki.

Prenumerta miejscowa „Kaliny" wynosi rocznie 6 złr. — półrocznie 3 złr. — ćwierćrocznie 1 złr. 50 c. w. a.

Z przesełką pocztową: rocznie 7 złr. 20 c. — półrocznie 3 złr. 60 c. — ćwierćrocznie 1 złr. 80 c.

Prenumerata zagraniczna: bez **mód** i bez **nut** rocznie 8 złr. 30 c. w. a.

Mody i kroje rocznie 3 złr. 70 c. — półrocznie 1 złr. 90 c. — ćwierćrocznie 1 złr. w. a.

Nuty rocznie 1 25 c. — półrocznie 65 c. — ćwierćrocznie 35 c.

W Krakowie prenumerować można w biurze Redakcyi: ul. Mikołajska, 451, gdzie jest i ekspedycja, albo w księgarni J. Czecha.

We **Lwowie** można prenumerować i odbierać w ajencyi „Czasu".

W **Poznaniu** w księgarni Leitgebera Hôtel du Nord.

Wszelką zamiejscową prenumeratę z Galicyi **prócz miasta Lwowa**, należy przesyłać wprost do Redakcyi.

Reklamacje nieopieczętowane nie opłaca się.

Inseraty (stosowne) opłacają się od wiersza drobnego za pierwszorazowe umieszczenie po 7 c., następnie po 4 c. — Każdą razą dokłada się 30 c. na stępel rządowy.

Kraków. — W drukarni c. k. Uniwersytetu Jagiellońskiego pod zarządem K. Mańkowskiego. — 1867.